

PAUL d'IVOI.

SZPIEG X. 323

2

(Ciąg dalszy).

Jasno zdawałem sobie z tego sprawę, a na twarzy mej malował się grymas, w którym z pewnością nikt nie dopatrzyłby się entuzjazmu. Bardzo to pochlebne dla mnie, że powierzono mi trudną rolę, dobre jednak wywiązanie się z niej przyniesie mi więcej kłopotów, niż sławy! Jak więc spełnić to zlecenie w Paryżu, którego nie mógł dokonać mój redaktor w Londynie? Na chwilę bowiem nie pomyślałem, bym się miał od tego usunąć. Z góry byłem przekonany, że sprawa ta będzie uciążliwa, trudności jednak nigdy nie odstręczały mnie od powziętego przedsięwzięcia. A przytem w tym wypadku jakiś wewnętrzny głos, którego słucha się zawsze z przyjemnością, mówił mi, że nie jestem niezręczny, że już nie jeden ciężki interwiew przeprowadziłem z zupełną pomyślnością, że i w tej sprawie powie-dzie mi się... Jednem słowem powiedziałem sobie, że dopnę celu, wskazanego mi przez *Times'a* i... udałem się wprost do biura hotelu, gdzie mi zaraz podano „Rocznik ministeryalny“.

— Doskonale! zachęcałem się. W otoczeniu „Wielkiego Jerzego“, wśród jego attache gabineto- wych i sekretarzy znajdę kogoś, z kim będę mógł pomówić i kto mnie coś opowie.

Od tej chwili zaczęła się dla mnie ta tragiczna awantura, której wspomnienie stanowi jedną z największych boleści mego życia.

Przeglądałem skwapliwie „Rocznik“.

— Aha, ministeryum spraw wewnętrznych!... Zarząd... Mam go wreszcie! zawołałem wesoło.

W trzeciej linii przeczytałem: Henryk Laffontis, sekretarz.

Jego mi tylko brak było! Pamiętam go doskonale. Wysoki, przystojny, szatyn, o dobrych, śmiejących się niebieskich oczach... Przybył do Londynu z wycieczką dziennikarzy paryskich. Przyjmowaliśmy ich nader serdecznie i los zdarzył, żeśmy poznali się bliżej i obdarzyli wzajemną sympatją. Opuszczaliśmy urzędowe przyjęcia, przenosząc nad nie samotne spacer-y po mojej stolicy. Żegnając się na odejdzem, przyrzekliśmy sobie zobaczyć się wkrótce znowu. W przejeździe przez Paryż oddam mu wizytę. Cóż może być więcej naturalnego? Nic! Zjemy wspólnie obiad i wtedy przy pomocy burgunda wyciągnę z niego to, czego żąda redaktor, o ile tylko będzie on coś wiedział.

Jak się okazuje, byłem nie tylko machiavelistą, lecz i zarozumiałcem. Nie przypuszczałem, by mój kolega paryski mógł oprzeć się i nie wyjawić mi tajemnicy, którą posiadał. Przysłowie mówi: „trzeba kuć żelazo, póki gorące“. Uznałem, że należy tak samo postąpić i z sekretarzem prezydenta ministrów, nie zwlekając też, siadłem zaraz do dorożki i kazałem się wieść do Ministeryum spraw wewnętrznych. Przejeżdżając koło pałacu Elizejskiego, spojrzałem na niego z pewną ironią, mówiąc sobie:

— Fallières wie pewnością, ale dzisiaj wieczorem i ja będę tyle wiedział, co i on.

Zatrzymałem się przed wysokim, żelaznym ogrodzeniem i wszedłem na dziedziniec. Na prawo i na lewo były dwa wejścia. Które wybrać? Wejście z lewej strony było bliżej mnie i do niego też skierowałem się. Szczęście sprzyjało mi faktycznie. To jest dobre wejście, przeznaczone właśnie dla gości pana ministra, rzekł mi mi majestatyczny portyer; tamto, z przeciwnej strony prowadzi do podsekretarza stanu.

Podziękowałem temu ważnemu urzędnikowi za łaskawość, z jaką mnie objaśnił i podałem mu swój bilet wizytowy z temi słowami:

— Dla pana Henryka Laffontis.

Portyer skłonił się, nacisnął dwa razy guzik dzwonka elektrycznego, poczem siadł z powrotem na swem fotelu.

— Jakto, zapytałem go, pan nie zaniesie mojej karty?

Uśmiechnął się i zwrócił mi ją, mówiąc:

— Zbyteczna. Zadzwoń dwa razy. Wózny z pierwszego piętra wie, że dwa dzwonki to dla pana Laffontis. Zaraz mi odpowie, czy pan sekretarz jest w swym gabinecie. Jeden dzwonek: tak. Dwa dzwonki: nie. Jeżeli jest, pan uda się na górę i wóznemu wręczy swój bilet. Pan to pojmie, dodał niedbale, że jeżeli za każdym razem trzeba byłoby wchodzić po schodach, nie na długo starczyłoby kolan, w ten zaś sposób...

— Tylko nogi odwiedzających są w robocie, podczas gdy pańskie...

— Właśnie tak jest — odparł uprzejmie z całą godnością człowieka, który uważa, iż nie przystoi jego powadze wykonywać tych ćwiczeń sportowych po schodach, do jakich zmuszeni są tylko przycho-dzący interesanci.

Potem, wprowadzony w dobry humor moim spo-kojem — przekonałem się już dawno, że należy prze-baczać wszystko portyerom urzędów publicznych — rzekł mi poufnie.

— Pan Laffontis jest bardzo zajęty... Gabinet jego znajduje się akurat nad gabinetem pana mini-stra. Niech pan mi wierzy, że i minister nie lubi drapać się po schodach bez potrzeby. Kazał prze-prowadzić tubę akustyczną między gabinetem swoim i sekretarza. W ten sposób mogą rozmawiać każdej chwili bez tracenia czasu na schody.

I z powagą zakończył:

— Hm! pan minister, to dobra głowa... Zna się na rzeczy... Co do schodów, to jest jednego ze mną zdania... A to nie tak często spotyka się u mini-strów!

Krótki dzwonek przerwał tę rozmowę.

— Pan Laffontis jest w swym gabinecie. Pan będzie łaskaw wejść na górę, a tam znajdzie woźnego.

Skłoniłem się z szacunkiem temu dostojnikowi, który co do schodów nie różni się z „Wielkim Je-rzym“ i zacząłem szybko wchodzić na górę z obawą, czy Laffontis zechce mnie przyjąć. Przypuszczenie to nie było niczem usprawiedliwione. Jak tylko wo-żny zaniósł mój bilet, uprzejmy Laffontis ukazał się zaraz na progu swego gabinetu. Zawsze uśmiechnięty i wesoły wyciągnął do mnie ręce.

— Pan Trelam, co za miła niespodzianka! Pro-szę, niech pan wejdzie... Cieszę się bardzo, że pana widzę.

Ścisnął mnie serdecznie za dłoń z tą francuską żywością, tak czarującą, gdy nie objawia się w po-lityce.

— W przejeździe przez Paryż — zacząłem...

— Tylko w przejeździe? Cóż znowu... Pan mnie oprowadzał po Londynie, muszę to samo oddać panu w swem mieście.

Sam wpadał w pułapkę i chciałem już prosić go na obiad, gdy mały gwizd wstrzymał moje słowa. Opuścił mnie i podbiegł do stołu, zavalonego dziennikami i broszurami, nad którym zwieszała się tuba akustyczna.

— To minister, rzekł, proszę wybaczyć.

Zbliżając usta do otworu, zapytał:

— Pan minister żąda czego?... Aha, dobrze... w tej chwili...

Opuścił tubę, zapominając w pośpiechu zasunąć gwizdek ostrzegawczy i skierował się szybko do drzwi.

— Minister mnie wzywa... Przepraszam najmo-cniej... Niech pan poczeka... Tam na stole są dzien-niki.

I już go nie było, tylko rozległ się trzask zamy-kanych drzwi.

Te gorączkowe ruchy Francuzów zawsze mnie denerwują trochę. My w Anglii również spieszymy się nieraz, czynimy to jednak z większym spokojem. Nie chcę tu zaznaczać naszej wyższości, wskazuję tylko na ten charakterystyczny rys francuski, który mnie zawsze niepokoił, zwłaszcza że od dziecię-stwa przyzwyczajony jestem do czego innego.

Zbliżyłem się wolno do stołu, by wybrać jaki dziennik do przejrzenia, gdy naraz niespodziewany fakt zmienił tok mych myśli. Z tuby nad stołem do-chodziła mnie niewyraźna rozmowa. Laffontis zapo-mniał założyć zasuwę i aparat przynosił mi echo jego rozmowy z ministrem. Schwyciłem zaraz tubę i przyłożyłem ją do ucha. Przyznaję najzupełniej, że to nie po gentlemanuśku podsłuchiwać sekrety mini-sterialne, ale jest to prawdziwie po dziennikarsku. Od otrzymania depezy dyrektora nie byłem już ja-kimś panem, skrupowanym konwenansami światowymi, lecz tylko dziennikarzem w pogoni za nowinami sen-sacyjnymi, któreby mogły stanowić nadzwyczajny do-datek *Timesa*. Jeżeliby zaś Maks Trelam, gentleman, obawiał się schwywania na gorącym uczynku podsłu-chiwania, to wtedy Maks Trelam dziennikarz musiałby puścić tubę, która mi właśnie przynosiła wyraźne, głośne słowa „Wielkiego Jerzego“.

— Zrozumiał pan, panie Laffontis?

— Tak. W stosunkach z prasą wspominać tylko o zajściu w Casablanca. Jeżeliby mnie pytano o kra-dzież u Foreign-Office, o kasę ogniotrwałą, doku-menty, zbywać te zapytania lekko, jako rzeczy, które nas wcale nie dotyczą.

Dyrektor mój domyślał się więc dobrze. Przez kradzież tego przekłętą dokumentu tak Francya, jak i Anglia są zagrożone.

Rozmowa ciągnęła się dalej, nie pozwalając mi na dłuższe refleksje.

— Bardzo dobrze, zaczął znowu „Wielki Jerzy“. Nie potrzeba niepokoić opinii publicznej. Jeżeli bę-dziemy mieli wojnę, wtedy zobaczymy. W każdym razie nie myśmy jej szukali. Jeżeliby treść tego wła-śnie dokumentu była znaną powszechnie, nie wiem, czy udałoby się nam zachować milczenie naszej prasy. Miałbym ją za wytłomaczoną zupełnie, gdyż sam już tracę cierpliwość wobec podstępного kręactwa na-szej wschodniej sąsiadki. Powstrzymuję się jednak. Gdy nie będziemy nic mówili, nie będzie z naszej strony żadnej prowokacji, żadnych zbytecznych nie-szczęśliwych słów, które pogarszają tylko położenie dyplomatów. Hasłem naszym winno być: Usta zam-knięte, ręka na oręzu.

Potem dodał jeszcze ironicznie, swym zwykłym szyderczym tonem:

— Z tego jednak lawirowania po dymiącym wul-kanie, nikt nie będzie miał pociechy.

Rozmowa dobiegała końca. Nie mogłem dopuścić, by Laffontisowi nasunęły się jakie podejrzenia co do mojej dyskrecyi. Szybko pochwytiłem pierwszy le-żący z brzegu dziennik i siadłem z nim w fotelu, stojącym koło okna.

Gdy przyjaciel mój powrócił, tak byłem pogrą-żony w przyglądaniu się portretowi jakiegoś zbro-dniarza, umieszczonemu na pierwszej karcie pisma, iż dopiero spostrzegłem go, gdy stanął przy mnie.

Drogi przyjaciel! Przebaczył mi potem ten pod-stęp dziennikarski i płakał razem ze mną nad wspo-mnieniem tego rozkosznego stworzenia, którego nie ujrzę już więcej. Nie miał on do mnie żadnej urazy. Zresztą tegoż jeszcze dnia naprawiłem swój „inter-wiew tubowy“, gdyż odmówiłem mu stanowczo uda-nia się razem z nim na obiad. Wymawiałem się ocze-kiwaniem depezy redaktora *Timesa*, z powodu któ-rej będę musiał każdej chwili opuścić Paryż.

Nie spodziewałem się żadnej, lecz fakt podsłu-chania rozmowy przyjaciela mego z ministrem, zro-dził we mnie pewne skrupuły. Jeżeliby pod wpły-wem burgunda Laffontis wyznał mi treść skradzio-nego dokumentu, nie mógłbym powstrzymać się od wysłania tych szczegółów *Timesowi*. A przypuszczać mogłem, że tajemnicę tę posiada tylko „Wielki Je-rzy“ i Laffontis. Ogłoszenie więc jej pociągnęłoby za sobą dla mego drogiego towarzysza utratę zau-fania ministra, a co za tem idzie... Jednem słowem żał mi go się stało. Było to śmieszne i zupełnie zby-teczne uczucie, gdyż teraz, gdy znam go lepiej, je-stem pewien, że ani słowa nie przemówiłby o skra-dzionym dokumencie. Można o nim powiedzieć, że jest on jak ostrze stalowe w aksamitnym futerale. „Wielki Jerzy“ zna się na ludziach i wiedział do-brze, kogo wybrać na swego powiernika.

Pożegnałem się wreszcie z Laffontisem i wróciłem do hotelu na śniadanie w nie bardzo świetnym hu-morze. Mogłem sobie powiedzieć, że dowiedziałem się dużo, a nie wiem nic. Papier urzędowy, skra-dziony w Foreign-Office, mógł rozdrażnić opinię pu-bliczną we Francji, jak również i w Niemczech... Ogłoszenie jego wywarłoby takie wrażenie, iż na-wet „Wielki Jerzy“ nie spodziewał się otrzymać od prasy przyrzeczenia milczenia.

Czyż więc ten dokument był tak straszny?

Myśli me błądziły jak w gęstej mgle. Mogłem stwierdzić, że jakiś człowiek zdobył straszną broń, nie byłem jednak w stanie domyśleć się nawet, co to była za broń.

Tak byłem przejęty temi spostrzeżeniami, iż za-cząłem nawet żałować swego litościwego uczucia, które mi nakazało oszczędzać Laffontisa. Jest to istotnie dziwne wrażenie czuć się zarazem słabym i chytrym, gdy ciekawość jest podniecona. Wycią-gnąłem się nieruchomo na kanapie w bibliotece ho-telowej, zmęczony swą beczynonością i nie mając odwagi, by się z niej otrząsnąć. Zegar, wiszący nad kominkiem, wybił już czwartą godzinę, gdy służący z telegrafu przerwał me lenistwo, przynosząc mi depezę. Była ona od redaktora, lakoniczniejsza je-dnak od pierwszej:

„Proszę jechać dziś wieczorem do Madrytu. zatrzymać się w hotelu de la Paix na Puerta del Sol. Spotka się pan z kapitanem Lewis Markham, attache wojskowym angielskiej am-basady. On panem pokieruje. Bardzo ważne.“

Po jednej niespodziance druga. Przed kilku go-dzinami zapewniałem Laffontisa, sam nie wierząc w możliwość tego, że mogę być w ciągu dnia we-zwany do opuszczenia Paryża i oto teraz kłamstwo me staje się prawdą. Nawet w okresie czarodziej-skich wieszczek, o ile okres taki istniał kiedy, nie-rozumne pragnienia nie były spełniane z większą ści-słością. Po co jednak jechać do Marytu? Kto jest ten kapitan Markham, o którym nigdy jeszcze nie słyszałem? Mną kierować? W czym? Dlaczego? Na co?